

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza drobnego (petit) po 8 centów, za każde następné . . . 5 . . . i należytość stopową 30 . . . za każdorazowe umieszczenie.

AFISZ

TEATRALNY.

Wychodzi w Krakowie 4 razy w tygodniu w dniu przedstawienia teatralnego.
Cena prenumeraty miesięcznie 50 c.
Numer pojedynczy kosztuje 5 c.
Prenumeratę przyjmują: Administracja *Czasu*, przy ulicy Mikołajskiej Nr. 444 i Kasa Teatralna

Kraków 3 Kwietnia.

Czytamy w korespondencji ze Lwowa do *Tygodnika Ilustrowanego* warszawskiego.

„Kiedy mowa o teatrze, nie można pominąć bez wzmianki przedstawienia *Rabagasa*, owiej strasznej komedii p. Sardou, którą temi dniami wybrała na swój benefis pani German. Publiczność szła do teatru, nie bardzo dobrze uprzedzona o sztuce, o której rozmaicie pisano i którą różnie w różnych teatrach zagranicznych przyjmowano. W ciągu sztuki atoli uprzedzenie znikło i komedia miała zupełne powodzenie. Jest bo też wyborna satyra, ciążąca hypokryzję, blagę, brak przekonani i nikczemność podszywającą się pod godło szlacheckiej zasady, aby pod tą maską, wyzyskiwać na swoją korzyść łatwowierny a krótkowidzący ogół. *Rabagas* wręcz z kilku swoimi towarzyszami, jest to typ nikczemnego hypokryty, frymarzącego przekonania, których nie posiada. Sardou kreśląc tę wyborną w swoim rodzaju postać, chciał

ostrzedz pod wpływem ludzi przewrotnych, przybierających pozory zasad demokratycznych, a którzy w istocie żadnych zasad nie mają, prócz brudnej, egoistycznej ambicji i chęci spieniężenia swych miernych zdolności gdzie się uda po najlepszej cenie. Jeszcze nie upadliśmy, dzięki Bogu tak nisko, aby się mieć za jedno z *Rabagasami* i brać do siebie potępienie ich podłości; społeczeństwo nasze ma dosyć zdrowego zmysłu aby odróżnić prawdę od brudnego sofizmu w uszach *Rabagasa* i dla tego sztuka w ogóle podobała się.

— We wtorek *Rabagas* w abonamencie.
PROGRAM PRZEDSTAWIENIA AMATORSKIEGO odbyć się mającego w Piątek dnia 4 Kwietnia 1873 na korzyść Szpitalu św. Zofii dla dzieci

DESZCZ I POGODA

komedia w 1 akcie z francuzkiego

OSOBY:

Baronowa de Gontran . . . Hr. Łączyńska
Nieznajomy Hr. Bobrowski.
Wiktorya Hr. Łubińska.
Anzelm P. Stojowski.

Rzecz dzieje się na wsi w domu Baronowej.

UN TIGRE DU BENGALE

comédie en 1 acte.

PERSONNAGES:

Pont aux Choux Mr. Hautner.
Cerfeui Mr. Skrzyński.
Aurélie Mme. Marchwicka.
Lapotte Csse. Stadnicka.

POSAŻNA JEDYNACZKA

komedia w 1 akcie przez J. A. Hr. Fredre.

OSOBY:

Pan Szumbaliński majetny obywatel Hr. Bobrowski.
Paulina, jego córka Hr. Łubińska.
Pan Maciej Gomojło, obywatel z Litwy Hr. Łubiński.
Agata, jego żona Pni. Marchwicka.
Pan Kazimierz Ratatyński, obywatel z Pcdola Hr. Bielski.
Ludwika, jego żona Hr. Łączyńska.
Kamila Hr. Stadnicka.
August Darzyński P. Stojowski.
Henryk Marecki P. Jędrzejowicz.
Błażej, stary służący Szumbalińskiego P. Skrzyński.

Rzecz dzieje się na wsi w domu Szumbalińskiego.

Kronika Tygodniowa.

Wszystko znówu dobrze — Straszny sąd i tragiczne zakończenie dla sędziego — *Utyskiwania kapitalisty nad preferansem.*

No! Chwała Tobie Panie, wszystko się nadspodziewanie dobrze skończyło, a że tam kto przegrał kilka butelek wina i parę kolacyj, to przecież tak błache fraszki powinny zniknąć, wobec faktu brzemiennego w tak wielką doniosłość, jaką jest przyjęcie napowrót berła i królowanie na starym naszym ratuszu. Jak się to jednak dziwnie plecie na tym bożym świecie. W przeddzień tak ważnego wypadku, na 50.000 mieszkańców grodu Krakusa, 49.999 było przekonanych i dałoby się zarznąć na śmierć że będziemy mieli nowego Papę, tymczasem we Czwartek wieczór, ucieszna wiadomość lotem błyskawicy rozniosła się po Krakowie, że dobry ojciec chce napowrót pocieszać swoje stroskane dzieci, i że w dobroci swojego serca przyjmuje władzę ciążącą mu daleko więcej, aniżeli Atlasowi bryłowatość całego świata. Ha! może się i dobrze stało, a wkrótce po czynach będziemy mogli poznać, czy świeże powietrze korzystnie wpłynęło na usposobienie naszego Ojca, i czy plany projektowane koło upiększenia miasta, budowy szkół i szpitali, pospieszniejszym marszem będą maszerowały z sekcji budowniczej na widok publiczny, ku wielkiej uciechę naszych pracowitych próżniaków codziennie oglądających Sukiennice i załamujących ręce, że roboty ani na krok, w tym roku jeszcze nie postąpiły.

Głęboko zadumany o tak ważnym wypadku, powolnym krokiem o godzinie 10. wieczór, wracałem do mojego domostwa, i jak się zwykle przytrafia każdemu z śmiertelników, a od których ja, niżej podpisany, nie stanowię żadnego wyjątku, zasnąłem snem sprawiedliwego. Spałem snem niespokojnym, ciągle myśli przesuwały mi się przez głowę, i Bóg wie dokąd byłbym myślał, gdyby mię jakaś nadludzka siła nie była wyrwała z mojej zadumy, i silnym rzutem wyrzuciwszy mię przez okno, pędziła ciągnąc mię za sobą, przez góry, lasy, wertepy i urwiska. Po kilkugodzinnej szalonej jeździe, stanęliśmy przed jakimś budynkiem na pierwszym rzut oka, w stylu gotyckim. Przeszedłem z moim przewodnikiem różne krużganki, pokoje, wschody, nareście weszliśmy do ogromnej sali, oświetlonej li tylko jedną lampą. Z pokorą i skruszonym na wylot, stanąłem w samym rogu, i trwożliwym wzrokiem spojrziałem w głąb. O! zgrozo cóż ja zobaczyłem? Tron na wyższeniu, na nim jakąś osobę siedzącą, przy niej zaś masę satelitów bijących czołem i oddających głębokie pokłony, w pierwszej chwili zdawało mi się że jestem przeniesiony na dwór Cesarza marokańskiego, i że widzę go w całym blasku i okazałości, otoczonym niewolnikami i eunuchami. Patrzę się jeszcze lepiej i widzę kilku delikwentów, otoczonych strażą i czekających wyroku.

— Masz tobie, pomyślałem, a pocóż mnie tu przyprowadzono, przecież ja nic wspólnego nie mam i nigdy nie miałem z Najjaśniejszym C. sarzem Marokka i Fezu.

Chcąc rozwinąć zagadkę, zwróciłem się do mego stróża, lecz za całą odpowiedź dostałem pogroźenie jataganem, którego wcale nie lubię. Skuliłem się we dwoje i schowawszy się w najciemniejszy kąt, czekałem rychło mnie zawezwą i przyznam się szczerze, że chciałem by jak najprędzej przyszła ta chwila, w której dobrotliwy władca każe mi uciąć głowę i zatknąć ją na bramie miasta, bo ta ciągła niepełność dławiała mię bezustannie i mało brakowało, bym nie wyzionął z przestרחu mojej biednej duszy. tak się wszyscy piekielnie na mnie spoglądali. Naraz za danym znakiem, rzucono mię jak piłkę i w jednej chwili znalazłem się w kole, w którym się mieścili obwinieni. Przyglądałem się bliżej i rozpoznałem moich znajomych, i to nawet bardzo dobrych znajomych, spojrziałem pomimowoli na tron, i zobaczyłem — kogo? nie uwierzycie, jak Was kocham, a to ni mniej ni więcej, tylko samego pana Dobrzańskiego, w mundurze podporucznika huzarów, i z turbanem zielonym na głowie. Teraz zacząłem pojmwować trochę, lecz także niewiele. Nareszcie cymbały zagrały, umilkły, cisza grobowa zapanowała w całej sali, i pan Jan ponurym głosem, odezwie się w te słowa: Wy wszyscy, którzy tu jesteście zgromadzeni i z którymi nigdy sobie rady dać nie mogłem, wy, którzyście mię zmusili do ustąpienia z komitetu teatralnego lwowskiego, wy którzy zawieracie umowę, nie pytając się, czy ja na to zezwolę, wy, którzy ośmielacie się pisać odpowiedzi na artykuły zamieszczone przez moich podwładnych, w urzędowym moim dzienniku, wy wszyscy, którzy utrzymujecie, że są odemnie mędrsi ludzie w całym królestwie Galicyjskiem, wy wszyscy nareście, którzy ośmielacie się pisać i drukować rzeczy, które mi się wcale nie podobają. Po tym monologu nastąpiła pauza, pan Jan dobył tabakierki, zażył potężną szczyptę, i dumnym wzrokiem pociągnął po swoich ofiarach, które jednakowoż jak na złość stały niewzruszone, i z uśmiechem szyderezym spoglądały się w poczciwe oblicze bohatera nadpełtwiańskiego, autora i wynalazcy przeróżnych skandalików zakulisowych i światowych. Po dość długiej pauzie, władca zabrał się do wygłoszenia ostatecznego wyroku. podniósł się z tronu, wyciągnął rękę ku nam i gromkim głosem zawołał „Skazuję was, was wszystkich na . . . w tem naraz zapanowała ogromna jasność, potoki światła uderzyły ze wszystkich stron, i na złoty rydwanie wjechał w pośród nas jakiś rycearz w stalowym pancerzu, nie rzekł nic, lecz groźną rękę wyciągnął ku tronowi, i w jednej chwili satelici zapadli się w ziemię, a sam władca mający nas sędzić zamienił się w smołę.

— Proszę pana przyniosłem kawę, już jest ósma, krzyknie mi ktoś nad głowę, i obudziliśmy się. Przed sobą zobaczyłem mego poczciwego Józefa, który z pewnym politowaniem patrzył się na mnie.

— Co się tak spoglądasz?

— Bo proszę pana, stoję tu od kwadransa, i żal mi było budzić, tak pan smacznie zasypiał.

— Żebyś ty kark skrecił, pomyślałem, kwadrans stałeś, i kwadrans pozwoliłeś mi mę-

czyć się i być ciągle przygotowanym na zdjęcie głowy.

Ubrawszy się, wyszedłem na miasto, i swoim zwyczajem pociągnąłem na planty, rozmyślając o tym dziwnym śnie, w tem na Grodzkiej ulicy, z okna pierwszego piętra zawołało mię po imieniu. Oglądałem się i widzę mego dobrego znajomego, a który od kilku miesięcy skazany był na pozostanie w domu, z powodu podagry. Chorych nawiedzać jest cnotą chrześciańską, i nie namysławiając się długo jednym susem znalazłem się w jego pokoju.

— Jak się masz?

— Teraz już dobrze, chodzić nie mogę, lecz po świętach mam błogą nadzieję opuścić ten przybytek boleści, i delektować się świeżem powietrzem. Cóż tam słyhać?

— Wiele i nic.

— Jakto nic, przecież czytam dzienniki, i widzę z nich, że z Dobrzańskim idziecie już na gołe noże.

— To może Dobrzański się kłóci, bo my to ze wszystkimi chcemy żyć w świętej zgodzie i wody nawet nikomu nie zamącamy.

— Żartuj sobie ze mnie, lecz ci nie wierzę, żebyście mieli niezważać na Dobrzańskiego, chociaż prawdę powiedziawszy on się już przeżył na świecie, i czas już na niego, by pola ustąpił drugim młodszy i rozumniejszy.

— A widzisz doktorze, że sam przyznajesz mi, że upadającym pseudo-wielkościom, nie należy zatruwać ostatnich dni, i lepiej jest pozwolić im w zaciszu dokończyć ostatnich chwil politycznego życia, które i tak było dość burzliwym. Lecz dajmy temu pokój, i mówmy o naszych interesach.

— Smutno to wyglądają nasze interesa.

— Dla czego? kto jest takim kapitalistą, posiadającym sta różnych akcji, ten nie powinien smuć się interesami.

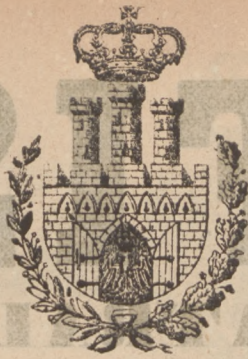
— Tak, gdyby zawsze było podobne *status quo* na świecie, lecz czy nie widzisz, jak świat teraz dąży ku podwyższeniu ceny pracy, i skutkiem tego mamy ciągle *striki* piekarzy, szewców, krawców, a nawet doróżkarzy.

— To wszystko dobrze, lecz przyznaj mi że mają i rację, praca powinna się wyzwolić z pod przemocy kapitału.

— Tak, masz słuszność przyznając ci, lecz z drugiej strony weź przykład ze mnie. Pracowałem ciężko lat 20, dorobiłem się trochę grosza, procent wystarczał mi na przyzwoite utrzymanie, lecz czekaj tylko trochę, a zobaczysz, że w krótkce każą ci płacić 100 złr. za surdut; a 25 złr. za buty, bo teraz tylko chodzi majster na preferansa a potem przecież i czeladnik musi użyć tej samej emocyi.

Roześmiałem się w duszy nad utyskiwaniami mego przyjaciela i uścisnąwszy serdecznie za rękę, opuściłem jego mieszkanie, wynosząc to przekonanie, że idea socjalizmu, jakkolwiek od nas oddalona na miliony mil zaczyna przestraszać powoli naszych spokojnych mieszkańców. Nie bójcie się, tak źle nie jest, będziemy płacili za surdut 100 złr. ale też i praca nasza więcej będzie ceniona, równowaga na świecie musi być utrzymana.

J. K.



Z zawieszeniem Abonamentu.

Nr. porządkowy 116.

TEATR KRAKOWSKI.

W Niedzielę dnia 6^{go} Kwietnia 1873 r.

Po raz drugi

Komedia w 5 aktach z francuskiego W. Sardou

RABAGAS

OSOBY:

Książę Monaco	— — — —	Pan Szymański.	Staruszek	— — — —	Pan Danielewicz.
Rabagas, adwokat	— — — —	Pan Benda.	Bigorvo	— — — —	Pan Nowakowski.
Karol, siostrzeniec księcia, porucznik gwardyi	— — — —	Pan Terenkoczy.	De Flavarens, podporucznik gwardyi	— — — —	Pan Glikson.
Andrzej de Mora, porucznik gwardyi	— — — —	Pan Rawicz.	Miss Ewa Blounth	— — — —	Pani Hoffman.
Camerlin	— — — —	Pan. Eker.	Księżniczka Gabryela	— — — —	Pani Terenkoczy.
Chaffiou	— — — —	Pan Błoński.	Baronowa de Sottoboio	— — — —	Panna Mazurowska.
Vuillard	— — — —	Pan Zamojski.	Tirelirette	— — — —	Panna Wojnowska.
Petrowski	— — — —	Pan Siedlecki.	Panna de Therouane	— — — —	Panna Wolska.
Desmoulin	— — — —	Pan Leszczyński.	Noisette	— — — —	Panna Bauman.
Bricoli naczelnik policyi	— — — —	Pan Bolesławicz.	Żandarm	— — — —	Pan Kaisi.
Sottaboio	— — — —	Pan Siennicki.	Śłużąca	— — — —	Panna Sikorska.
De Vintimille, kapitan gwardyi	— — — —	Pan Roger.	I Śłużący	— — — —	Pan Zapalowicz.
Bouard, pułkownik żandarmeryi	— — — —	Pan Ładnowski.	II. Śłużący	— — — —	Pan Solawieński.
			Odźwierny	— — — —	Pan Slonarski.

Rzecz dzieje się u Monaco.

Damy. — Oficerowie. — Ogrodnicy. — Śłużba.

CENY MIEJSC: Łoża parterowa lub I. piętra na osób cztery 5 zlr. — Łoża II. piętra 3 zlr. 15 cent.
 Krzesło w łoży I. piętra w Iym rzędzie 2 zlr., w 2gim po 1 zlr. — Krzesło w łoży parterowej lub I. piętra 2 zlr.
 Krzesło w łoży II. piętra 1 zlr. — Krzesło w sześciu pierwszych rzędach 1 zlr. 5 cen. — Krzesło w dalszych rzędach 80 cen. — Krzesło numerowane na Balkonie 70 cent — Parter 50 cent. — Balkon 50 cen Galerya 25 cent.

Początek o godz. 7.